



## "Wilczy amulet" - S.A. Swann

fragment

Brat Josef myślał, że widział już piekło. Było w czarnych wrzodach, które oblepiły jego ojca, matkę, siostry i brata. W lekarzach, którzy uciekli, widząc, jak wychodzi z ogarniętego zarazą domu. Widział je w twarzach osób chodzących po ulicach Norymbergi z żarzącymi się wiązkami aromatycznych ziół, mających odpędzić plagę lub przynajmniej

zamaskować wszechobecny odór śmierci. W stertach ciał porzuconych na uboczu, bo brakowało rąk, które mogłyby je pochować. Zobaczył je w poczerniałej twarzy ukochanej kobiety, pozostawionej, by umarła samotnie w rodzinnym domu.

Jednak kiedy wstąpił do zakonu, przekonał się, że piekło może przybierać wiele form.

Z woli Boga i przełożonych swoją probację, czyli okres próbny przed właściwym nowicjatem w zakonie, odsłużył pod komendą komtura Heinricha, prowadzącego konwent wojowniczych mnichów przez ledwie oswojone, półdzikie tereny Prus. Komtur Heinrich zajmował w zakonie wyjątkowe miejsce, a jego ludzie określani byli w zakonie mianem, którego Josef nie słyszał nigdy wcześniej: die Wolfjäger.

Nawet noszony przez nich herb różnił się od powszechnie stosowanego w zakonie: w lewej górnej ćwiartce, wyznaczanej przez czarny krzyż zakonu krzyżackiego, znajdowała się odcięta głowa wilka.

Die Wolfjäger nosili też nietypową dla zakonu broń: mniejsze jej elementy, takie jak sztylety czy groty bełtów do kusz, w całości wykonane były ze srebra. Topory i miecze robiono ze zwykłej stali, ale ich ostrza srebrzono.

Nie do niego należało kwestionowanie wyznaczonej roli i zaczął ją rozumieć dopiero wówczas, gdy zobaczył pierwsze ślady tego, co tak naprawdę tropili „łowcy wilków”.

Wiedział, że ich przeciwnikiem jest jakiś rodzaj demona, ale będąc jeszcze blisko „świata”, spodziewał się, że „demony”, na które polowali, będą przypominać ludzi. W głębi duszy, wciąż targany wątpliwościami, bał się, że mogą przypominać Żydów. Wiedział, że Żydzi nie byli odpowiedzialni za plagę, która spustoszyła kraj. W najgorszych chwilach epidemii w norymberskiej synagodze panowała równie martwa cisza jak w katedrach.

Nie powstrzymało to jednak zamieszek na terenach wiejskich, gdy w żalostnej próbie oddalenia od siebie śmierci przerażeni chłopcy palili Żydów niczym

mieszkańcy miast kadzidła. Rzezi nie zdołały zatrzymać nawet dekrety papieża Klemensa VI.

Josef nie wierzył, by członkowie zakonu, którzy poświęcili się Chrystusowi i papieżowi, mogli dać się zwieść tak łatwo. Kiedy jednak Heinrich mówił o demonach kroczących w postaci człowieka, tak bardzo przypominało mu to retorykę, którą słyszał w szczycie śmiertelnego żniwa, że zastanawiał się... i karcił za wątpliwości. Do tego miejsca doprowadziła go wiara i nie wierzył, by jego służba Bogu mogła zostać tak bardzo ponizona.

Wkrótce też Bóg i jego komtur uznali za stosowne przedstawić mu dowody istnienia demonów, na które polowali wolfjegrzy, i okazało się wtedy, że nie są to ludzie: ani chrześcijanie, ani Żydzi.

Nie był gotów, gdy komtur Heinrich zatrzymał ich przed bezimienną wioską, w której nikt nie skosił porośłych chwastami pól. W pierwszej chwili Josef pomyślał, że trafili na kolejne ognisko zarazy, która znalazła sobie nowe tereny na północy. Potem jednak usłyszał słowa Heinricha:

– Ci z was, którzy są nowi w tej służbie, niech uważnie obserwują to, co tu znajdziemy. Trafiliśmy na świeży trop demona.

Jechali dalej w milczeniu i – w przeciwieństwie do ogarniętych zarazą wiosek, które Josef widział, gdy w końcu opuścił rodzinne domostwo w Norymberdze – pierwsze zwłoki, jakie zobaczył, należały do zwierząt. Na nieskoszonym polu leżały ścierwa owiec i wołu, czarne od much. Pomimo rozkładu padliny Josef nie miał wątpliwości, że zwierzęta zginęły gwałtowną śmiercią, a nie od choroby. Części ciał leżały porozrzucane, co uniemożliwiało dokładną ocenę liczby zewłoków.

Zatrzymali się przed domem z wyłamanymi drzwiami. Próg spryskany był krwią, jakby drwił z anioła śmierci. Wewnątrz panował chaos – krew, kawałki mebli i złamany sierp z ostrzem splamionym krwią i kłaczkami jasnej sierści. Nie zobaczył żadnych ciał.

– To tu było – oświadczył komtur Heinrich, zwracając uwagę na krwawy odcisk na klepisku chaty, gdzie ślady nie zostały starte przez deszcze.

W glinie odcisnięty był ślad wilczej łapy, ale o tak wielkim wilku Josef nigdy nie słyszał. Do zakrycia śladu z ledwością wystarczyłaby osłonięta rękawicą dłoń rosnącego mężczyzny.

– Jakież to wilk zostawił te ślady? – zapytał Josef.

– Wilczy miot – odpowiedział Heinrich. – Pomiot z głębi piekieł. Bestia przybiera ciało wilka, ale chodzi – i myśli – jak człowiek. Może wedle woli ukryć się w ludzkiej skórze i obojętna jest na wszelkie rany poza tymi, które natychmiast prowadzą do śmierci, oraz zadanyimi srebrną bronią. – Heinrich podniósł sierp i obrócił się do Josefa, przybierając przez chwilę, w mroku chaty, wygląd samego anioła śmierci. – To bezskuteczna broń, bezużyteczna, chyba że pierwszym uderzeniem zdoła się odciąć łeb bestii.

– Ale gdzie są ciała wieśniaków? – zapytał Josef, bojąc się odpowiedzi.

Znalazł ją w wioskowym kościele.

Z początku, gdy zbliżali się do tej małej budowli, Josef myślał, że parapety okien, dach i krzyż, ustawiony z przodu, zostały przybrane na czarno na znak żałoby. Dopiero gdy podeszli bliżej, zobaczył, że czerń się porusza.

Wszystkie poziome i połogie powierzchnie kościoła obsiadły gawrony. Mroczne ptaszyska siedziały tak blisko siebie, że Josef nie potrafił rozbić wzrokiem ich gęstwy na poszczególne sztuki. Stały się jedną czarną masą o dziesięciu tysiącach głów i dziesięciu tysiącach dziobów. Ptaki jednocześnie odwróciły głowy w stronę zbliżających się rycerzy, po czym, jakby na jakiś diabelski sygnał, wystartowały równocześnie z ogłuszającym wrzaskiem i grzmotem bijących w niebo skrzydeł.

Na chwilę słońce skryło się za czarną chmurą. Potem piekielne kłębowisko znikło, odsłaniając widok uczy, która przyciągnęła tu gawrony.

Wszystkie ciała zaciągnięto do kościoła i rzucono przed ołtarz. Choć padlinożerne ptaki nie zostawiły z wieśniaków wiele więcej niż ścięgna i kości, panujący wewnątrz smród był równie koszmarny jak ten, którego Josef zaznał w Norymberdze. Ze względu na stan, w jakim natura pozostawiła kości, to miejsce mogło być pozostałością kolejnej wioski pochłoniętej przez zarazę – i to wyjątkowo zjadliwą.

Gdyby nie ślady ciągnięcia na ziemi...

Ludzi zabito gdzie indziej i metodycznie przywleczono tutaj, rzucając trupy przed ołtarz. Może najbardziej uderzający w tym wszystkim był widok małego obrazu Madonny z Dzieciątkiem, których twarze wyszarpano szponami.

Josef zrozumiał wtedy, że naprawdę mają do czynienia z demonem.

Szli jego tropem przez trzy dni, podążając przez pruską dzicz. Josef dziękował Bogu, że nie natknęli się już na żadne szczególne potworności, choć samo w sobie również to było niepokojące. Oznaczało, że ich przeciwnik – ten wilczy miot – nie działał przypadkowo, na oślep czy w pośpiechu. Zaplanował zniszczenie tamtej wioski i metodycznie wprowadził ten zamiar w życie.

W miarę jak podążali jego tropem, Josefa zaczęła niepokoić myśl, że ślad potwora był świeższy niż pozostałości zbrodni w wiosce, jakby to, na co polowali, czekało, by myśliwi wpadli na jego trop.

Mimo wszystko ich zdolność tropienia nie była doskonała i w tej chwili właśnie stali pośród lasów, czekając na podjęcie decyzji o kierunku dalszego marszu.

Tutejsze lasy są bardzo mroczne – pomyślał Josef.

Siedział w siodle wierzchowca, jak pozostali bracia zakonu na probacji, tworząc rząd dziesięciu ludzi z niepełnymi krzyżami na tabardach. Z przodu stali przy koniach trzej rycerze i komtur Heinrich, radząc po cichu o kierunku dalszego polowania.

Ślady, za którymi podążali, doprowadziły ich do wiodącej przez las ścieżki,

która zmieniła się teraz w ledwie widoczny szlak dzikiej zwierzyny. Okoliczne lasy nie były gęste i konie mogły wędrować między drzewami, jednak dotarli do miejsca, w którym ich swoboda ruchów stała się wyraźnie ograniczona. Samo zawrócenie wierzchowca mogło być wyzwaniem, wymagało bowiem omijania konarów i opadłych gałęzi, a szybkość wędrówki spadła do tempa piechura. Teraz całkiem się zatrzymali.

Słońce nad nimi już prawie opuściło niebo, a drzewa pogrzyżyły się w półmroku. Gdzie my jesteśmy? – pomyślał Josef, nie chcąc wypowiadać tego pytania w panującej wokół nienaturalnej ciszy. Otaczający ich las był cichy niczym grobowiec czekający na trupa. Jedynymi dźwiękami były przyciszone głosy koło komtura Heinricha oraz przytłumione uderzenia i szuranie kopyt w pokrywających ziemię opadłych liściach. Czekając na decyzję komtura, Josef trzymał przed sobą napiętą i załadowaną kuszę. Minęło już prawie pół godziny od chwili, gdy się zatrzymali, i ręce mu mdlały od trzymania ciężkiej broni.

Czyżbyśmy po tym wszystkim jednak stracili jego trop?

Nawet jako neofita w grupie wolfjegrów i w zakonie widział już dość czynów ściganego stwora, by wątpić, że taki ślad da się łatwo zgubić.

Bestia, na którą polowali, nie dbała o ukrywanie swoich tropów ani o ostrożność. Jej szlak znaczyły ślady krwi, strzępy włosów i kości. Znakami zła były trupy ludzi i zwierząt. Stwór wcale nie starał się utrudniać tropienia.

Wcale go nie zgubiliśmy – pomyślał. – I to nie my go tropimy, ale on sam nas prowadzi.

Josef rozejrzał się wokół, ale las stał się nieprzenikniony, okryty wieczornymi cieniami.

– Bracie Heinrichu! – zawołał.

Jego wierzchowiec położył uszy po sobie i zarżał z przerażeniem. Nagle wszystkie konie się spłoszyły, a zwierzę Josefa zaczęło się cofać. Ponieważ obiema dłońmi dzierżył kuszę, nie mógł chwycić wodzy ani lęku, by utrzymać się w siodle. Zanim spadł z końskiego grzbietu, jego wierzchowiec obrócił głowę w bok, ukazując spieniony pysk i szeroko otwarte, białe z przerażenia oko.

Josef runął na ziemię, na chwilę ogłuszony. Usłyszał warkot, który wydawał się dochodzić ze wszystkich stron równocześnie, i nagle zrozumiał: to jest tu.

Kiedy niezdarnie sięgnął w prawo, w stronę upuszczonej kuszy, usłyszał krzyk ludzi. Otaczający go rycerze próbowali odzyskać kontrolę nad wierzchowcami, ze wszystkich sił starając się ustawić w pierścień. Koń Josefa zerwał się i pobiegł wąską ścieżką, mijając komtura.

Zwykle kamienne oblicze Heinricha przybrało mimowolnie wyraz zaskoczenia. Nie spodziewał się, że to coś nas zaatakuje.

Josef znalazł swoją kuszę i dźwignął ją, kierując w stronę największego kłębowiska ludzi i zwierząt, ale na drodze stanął mu wierzchowiec jednego z braci. Zobaczył przebłysk czegoś dużego, poruszającego się z niewiarygodną prędkością, po czym jeździec zachwiał się w siodle i spadł niemal u jego stóp.

Nie miał sporej części gardła.

Koń cofał się przed tym czymś, a to coś zawył, wydając piekielny dźwięk, po którym zabrzmiał odgłos miażdżonego i rozrywanego ciała. Koń opadł na przednie nogi. Josef się cofnął, szukając celu nad zwierzęciem padającym trupem w szybko rosnącą kałużę krwi.

Stwór poruszył się za nim. Słyszając warkot, Josef wykręcił się w miejscu na czas, by zobaczyć, jak spada na niego ciało kolejnego jeźdźca. Padł pod ciężarem jęczącego towarzysza i krzyknął na całe gardło:

– Gdzie to jest? Gdzie to jest?

Wyturlał się spod ciała współbrata i znalazł się twarzą w twarz z odpowiedzią na swoje pytanie.

Stwór był o głowę wyższy od każdego z ludzi Heinricha i miał łeb dwukrotnie większy niż jakikolwiek wilk. Jego mięśnie prężyły się pod splamionym krwią futrem. Stał na nogach zakrzywionych jak u wilka, a jego demoniczne, szponiaste łapy napinały się i wyciągały w stronę Josefa.

Gdy to skoczyło ku niemu, podniósł kuszę, skierował ją w stronę zbliżającego się potwora – z krótkim błaganiem do Boga. Wypuścił powietrze z płuc i poświęcił dodatkową sekundę na celowanie, choć każdy mięsień w jego ciele krzyczał, by wystrzelił już!

Wycelowawszy wprost w jedno z jarzących się, niebieskich ślepi, pociągnął dźwignię spustu, wiedząc, że ma tylko tę jedną szansę na uratowanie siebie i towarzyszy. Bełt wbity w mózg zabiłby tego stwora raz na zawsze.

Jednak nic się nie stało.

Miał tylko ułamek sekundy na zrozumienie, że ciężka kusza pękła w chwili upadku z konia. Bełt spoczywał na łożu bezwładny i bezużyteczny.

Potem potwór wylądował na nim, rzucając go o ziemię i drąc jego kolczugę. Bestia swoją masą wbiła się w dolną część jego ciała, przyciskając mu nogi i wgniatając paszczę w brzuch. Wrzasnął, jakby przeciwnik wdarł się już w jego wnętrzności, choć jakaś część jego mózgu wiedziała, że stwór wciąż jeszcze zмага się z kolczugą i grubym skórzanym kaftanem pod spodem.

To umożliwiło mu wyrwanie się z objęć paniki. Musiał znaleźć jakąś broń zdatną do ataku, cokolwiek. Gwałtownie obrócił głowę, rozglądając się po świecie rozmytym przez ból i łzy. Modląc się do Boga o...

Bełt z kuszy.

Uszkodzona kusza upadła obok niego, z niewystrzelonym bełtem o srebrnym grocie tkwiącym wciąż na łożu. Sięgnął dłonią w rękawicy w stronę pocisku w chwili, gdy potwór dostał się do ciała pod kolczugą. Josef krzyknął, czując, jak bestia wbija zęby w jego skórę i mięśnie. Każde włókno jego ciała próbowało się cofnąć, uciec od zniewagi, gdy stwór dźwignął go, unosząc częściowo nad ziemię. Bestia zmarszczyła pysk, czując świeżą krew. Mimo bólu Josef czuł na skórze żar oddechu stwora.

Zginałem – pomyślał w chwili dojmującej jasności umysłu. Nieoczekiwany spokój musiał przychodzić z niebios, niczym łaska pozwalająca świętym na

zniesienie męczeństwa.

W tej właśnie chwili przytomności umysłu chwycił bełt i z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć, wbił grot w lewe oko potwora.

Bestia zawyła, odrywając się od jego brzucha. Josef opadł z powrotem na ziemię, czując, jak życie wycieka z niego przez wygryzioną ranę. Zanim stracił kontakt ze światem, zobaczył jeszcze, że potwór ucieka z bełtem tkwiącym w oczodole.

Josef stracił przytomność, modląc się, by bestia zginęła od ciosu.